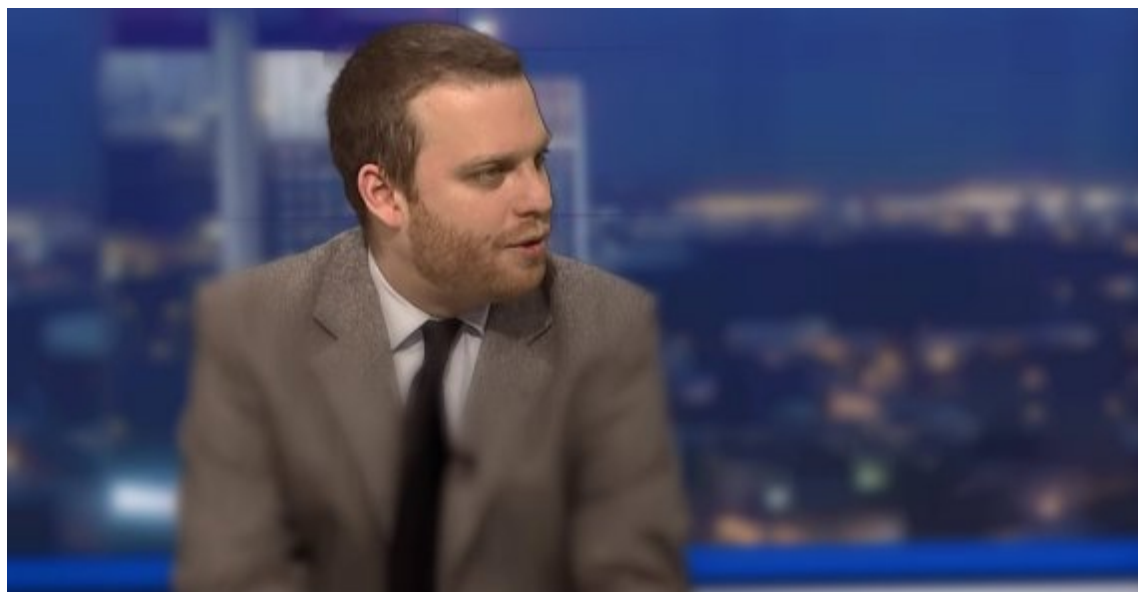


Dominik Szczęsny-Kostanecki: Projekt Intermarium a klęska europejskiej federacji [TPCT 17]

Należy skorzystać z nieuniknionej katastrofy eurointegracji w dotychczasowym duchu po to, by wdrożyć delikatnie poprawiony projekt Intermarium



Należy skorzystać z nieuniknionej katastrofy eurointegracji w dotychczasowym duchu po to, by wdrożyć delikatnie poprawiony projekt Intermarium - pisze w "Teologii Politycznej Co Tydzień" nr 17: *Superpaństwo EU?* Dominik Szczęsny-Kostanecki



Przeczytaj inne teksty z

"Teologii Politycznej Co Tydzień" nr 17: Superpaństwo UE?

Bezpośrednim powodem napisania niniejszego artykułu była nieco żartobliwa mapa polityczna Europy w 2022 roku opublikowana przez opiniotwórczy *Guardian* – co ważne w kontekście Brexitu – w roku 2012, i na nowo przypominiana po brytyjskim referendum. Ujmując rzecz syntetycznie przerzucała ona dość swobodnie – ale nie bez przyzwoitej znajomości historii Starego Kontynentu – mosty z przeszłości w przyszłość, sugerując, że niepowodzenie integracji europejskiej nie spowoduje ucieczki do przodu – próby zbudowania innego „nowego”, ale nawrót ku politycznym tradycjom, niekiedy zupełnie świeżym, innym razem całkiem zamierzchłym, przy czym stara Unia w dzisiejszym kształcie geograficznym zostałaby zastąpiona przez szereg federacji – to chyba najbezpieczniejsze słowo – znoszących dotychczasowe linie podziału administracyjnego – zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. I tak na przykład rozkład unijnej konstelacji w Skandynawii sprokurowałby powrót do tradycji Unii Kalmarskiej (która rozpadła się prawie 500 lat temu) i – co się z tym wiąże – zniósłby formalną granicę między Norwegią z jednej strony, a Danią, Szwecją i Finlandią z drugiej. Atrofia tej samej Unii wywołałaby też – wedle mapy – ciekawe ruchy na Półwyspie Iberyjskim, przy czym

nie chodzi tylko o emancypację Katalonii, co oczywiste, ale również utworzenia nowego państwa pod nazwą Portugalicia, złożonego, jak sama nazwa wskazuje z Portugalii i Galicji (rzecz jasnej nie tej habsburskiej).

Oczywiście można by uznać całą sprawę li tylko za swego rodzaju ćwiczenie intelektualne – ćwiczenie z logiki historycznej, używając słów Andrzeja Ledera i tym samym zamknąć sprawę. Co jednak jeśli te projekty mini-federacji przynajmniej w części są realne? Wtedy, jak sądzę, warto im się przyjrzeć. Warto również dlatego, żeby pomóc ewentualnym budowniczym takich struktur ocenić szanse ich przetrwania.

Na umownie rozumianej prawicy w Polsce panuje obecnie konsensus co do tego, że projekt federacji europejskiej poniósł klęskę, przy czym nie ma zgody, co do określenia jej źródeł. Jedni wskazywać będą piękno pierwotnego projektu Schumanna i Moneta, wynaturzonego przez kastę eurobiurokratów, którzy odebrali Unię obywatelom, tworząc koszmarny gąszcz nikomu niepotrzebnych regulacji i przepisów. Inni dowodzić będą, że przyczyn niepowodzenia szukać należy już w latach 50., kiedy powołano do życia post-arystokratyczną grupę prawników, kontrolujących procesy demokratyczne w państwach Zachodu (i tworzącym się superpaństwie europejskim), samemu natomiast będący wyjętymi spod jakiegokolwiek demokratycznej kontroli.

W moim odczuciu jest jeszcze jeden powód, który chyba ze względów psychologicznych nie bywa szeroko dopuszczany do polskiej świadomości: poszerzenie UE z roku 2004 jako początek końca. Przypomnijmy, że największe w dziejach (terytorialne, ludnościowe)

powiększenie wspólnoty wprowadziło w unijny krwioobieg ok. 100 milionów zupełnie nowych ludzi. Ludzi postrzeganych jako ubodzy kuzyni, domagający się partycypacji w dobrobycie, ale jednocześnie stanowiący zagrożenie dla własnych obywateli na rynku pracy, co dobitnie pokazała kampania wykorzystująca polskiego hydraulika jako argument przeciwko unijnej konstytucji. Rzec miała miejsce w roku 2005, przez co można ją traktować jako nierozrwalną genetycznie z przyłączeniem do Wspólnoty 10 krajów zaledwie rok wcześniej. Z drugiej strony zdecydowaną większość nowych wówczas krajów (demograficznie rzecz ujmując była to w ogóle większość przytłaczająca) stanowiły dawne KDL-e. Co z jednej strony warunkowało zupełnie inne niż na Zachodzie podejście do Rosji, ale również większą predylekcję do nieufności wobec tworzenia federacji, jaką de facto był Blok Wschodni.

Im bardziej stara Unia (umowne nazwijmy ją dawnym imieniem Wspólnoty Węgla i Stali) będzie uciekać do przodu, tym bardziej Europa Wschodnia będzie próbowała hamować rozpędzający się pociąg. Cudów nie ma: będzie musiało dojść do rozvodu. Prawdopodobnie będzie on tak samo aksamitny jak ten między UE a Wielką Brytanią. Na Węgrzech czy na Polsce nie będzie ciężać odium twórcy precedensu. Być może zresztą Polska i Węgry jako *enfants terribles* zostaną delikatnie wypchnięte z europejskiego klubu euro-entuzjastycznych zwolenników dobrego geszeftu naftowego Rosją.

Tu pojawia się kwestia zasadnicza dla Polski. Czy winna ona przeorientować swoją politykę, by na powrót stać się europejskim czempionem Europy wschodniej, licząc na to, że dzięki temu zwiększy swoją pozycję negocjacyjną w rozmowach ze Wspólnotą Węgla i Stali? Nie wydaje się, żeby to był dobry pomysł. Role pomału zaczynają się

odwracać i co raz bardziej to Unia jest brzydką panną na wydaniu, by przytoczyć słowa Władysława Bartoszewskiego. Pogubiona, duszona pętami rozlicznych regulacji, coraz mniej demokratyczna, wobec czego coraz mniej rozpoznawana jako swoja przez swych mieszkańców, naszpikowana niepoddającym się akulturacji muzułmanów, opętana własną ideologią, która, mając być bronią przeciw konserwatywnemu (tradycjonalistycznemu) myśleniu, stała się upuszczonym we własnych szeregach granatem... Unia co chwila wstrząsana zamachami, pochłaniającymi życie 100-200 osób, życie w ciągłym strachu – nie wiadomo czy bardziej przed muzułmańskim zagrożeniem, czy przed popełnieniem myślozbrodni politycznej niepoprawności.

Polska powinna tedy wystąpić z własnym projektem politycznym i, jak się wydaje, taki projekt jest – w ramowym sensie – gotowy. To projekt Międzymorza, który w nieodległej przeszłości był szeroko dyskutowany na łamach Teologii Politycznej, wobec czego autor niniejszego tekstu czuje się zwolniony z obowiązku opisywania go od podstaw.

Co ciekawe, owa polityczna mapa Europy w 2022 roku, o której była mowa na początku tekstu zawiera także projekt Intermarium. Oto od zatoki Fińskiej na północy po Chorwację i Bułgarię – z wyłączeniem Węgier – na południu rozciąga się (kon)federacja nazwana przez autora Unią Europejską. Rzecz jasna schlebia polskiej miłości własnej myśl, że z brytyjskiego punktu widzenia takie państwa, jak Polska czy Ukraina lepiej dziś stosują etykę protestancką w praktyce, niż protestancka de iure Holandia, czy Szwecja, ale chyba chodzi tu o coś więcej. O ile bowiem autor mapy nazywa to, czemu roboczo nadałem tytuł Wspólnoty Węgla i Stali państwem Merkelreich – trafnie wskazując hegemoniczne ciągoty Niemiec z jednej strony i autorytaryzm sterników niemieckiego państwa z drugiej, Międzymorze posiadałoby

nad swoim sąsiadem tę przewagę moralną, że nawet wyróżniająca się na tle innych podmiotów Intemrarium siła Polski – przede wszystkim ekonomiczna, może zostać zbalansowana przez potencjał gospodarczy Ukrainy i Rumunii. Ale znowu jest w tym chyba coś jeszcze. Nie podobna dojść bez odbycia rozmowy z autorem mapy, na ile świadomie, a na ile intuicyjnie, ale jednak założył on, że Polska w Międzymorzu nie będzie dążyć do bezwzględnej hegemonii, ponieważ... nie leży to ani w naturze Polaków, ani w polskiej tradycji politycznej – nawet tej najbardziej zamaszystej, piłsudczykowskiej. Polska w tym układzie mogłaby co najwyżej odgrywać rolę *primus inter pares*.

Na koniec dodajmy jeszcze i to, że jakkolwiek federacji europejska zdaje się walić w gruzy, o tyle są federacje, które albo się sprawdzają, albo sprawdzały się długo. Tym, co zdaje się przesądzać o jej trwałości jest (oprócz siły militarnej) pewna pozornie wykluczająca się zależność między maksymalną siłą oddziaływania kulturowego centrum a maksymalną swobodą polityczną peryferii, tak jak to miało miejsce w I Rzeczypospolitej. Przy czym owo Intemarium – Trójkąt ABC (Adriatyk-Bałtyk-Morze Czarne) musiałoby składać się formalnie z takiej liczby podmiotów – jak to miejsce w USA – ile państw umówiłoby się na jej tworzenie. Nie wolno powtórzyć błędu spóźnionej Ugody Hadziackiej, która dopiero w 1658 powołała do życia Rzeczpospolitą trójczłonową – polsko-litewsko-ruską. Stało się to jednak już po tym, jak powstanie Chmielnickiego wykopało przepaść między braćmi.

Niekoniecznie – choć zabrzmiało to, co najmniej jak heterodoksja dla polskiego ucha – widziałbym w nowym, post-piłsudczykowskim Międzymorzu Węgrów. Pierwszy powód jest najboleśniej pragmatyczny: za Węgrami nie przepadają ani Słowacy, ani Chorwaci, ani Rumuni, ani Ukraińcy. Trochę za dużo tych narodów. Kongres

słowiański w Pradze w roku 1848 okazał się nieporozumieniem między innymi dlatego, że skrajnie odmienny stosunek do Madziarów prezentowali z jednej strony Polacy, z drugiej chociażby właśnie Chorwaci. Drugi powód jest natury moralnej: nie może być zgody na pokątne interesy z Moskwą – a takie ostatnio prowadził Viktor Orban – kosztem polityki ekonomicznej, czy wręcz aksjologicznej Międzymorza wobec Kremla.

Najbardziej ambitnym zadaniem w kontekście poszerzenia zasięgu Międzymorza byłoby oczywiście pozyskanie Białorusi. Jest to jednak szalenie ważne ze względów historycznych (to tam biło serce Wielkiego Księstwa Litewskiego) oraz geopolitycznych – odsuwałoby zagrożenie rosyjskie z linii Bugu na linię Dniepru – a to, jak sądzę, zawsze jest warte wysiłku. Dodatkowym plusem byłoby powiększenie ludności Intermarium o dodatkowe kilkanaście milionów osób, co z kolei pozwoliłoby na uzyskanie zauważalnej przewagi demograficznej nad FR.

Nauczeni doświadczeniem Unii Europejskiej politycy Intermarium prawdopodobnie nie ulegliby zrodzonej z oświeceniowej pychy pokusie inżynierii społecznej, tak typowej dla Zachodu, przede wszystkim zaś Francji i Belgii, w Polsce natomiast, czy w Wielkiej Brytanii wywołującej – czego dowodem Brexit – ledwo hamowaną agresję. Swoją drogą społeczeństwa państw, które stworzyłyby (kon)federację międzymorską żyją w dużej mierze w sposób tradycyjny, a horyzont problemów dnia codziennego wyznacza często konieczność pracy na dwóch etatach, by zapewnić dzieciom wykształcenie, nie zaś walka o prawa mniejszości seksualnych.

Dominik Szczęsny-Kostanecki

